

BRIANNA BOURNE

Tęcza
życia
miłości

PRZEŁOŻYŁA EDYTA STĘPKOWSKA

Young

BRIANNA BOURNE

*Pró
życia
miłości*

Przełożyła
Edyta Stępkowska



TYTUŁ ORYGINAŁU:
The Half-Life of Love

Redaktorka prowadząca: Marta Budnik
Wydawczyni: Monika Rossiter
Redakcja: Magdalena Wołoszyn-Cępa
Korekta: Anna Burger
Projekt okładki: Maeve Norton
Opracowanie graficzne okładki: Łukasz Werpachowski
Wyklejka: © ProjectPixels / Stock.Adobe.com
DTP: pagegraph.pl

Copyright © 2023 Brianna Bourne
Cover photo © Shutterstock.com

Copyright © 2024 for the Polish edition by Young an imprint of Wydawnictwo Kobiectwo
Agnieszka Stankiewicz-Kierus sp.k.

Copyright © for the Polish translation by Edyta Stępkowska, 2024

Wszelkie prawa do polskiego przekładu i publikacji zastrzeżone. Powielanie i rozpowszechnianie z wykorzystaniem jakiejkolwiek techniki całości bądź fragmentów niniejszego dzieła bez uprzedniego uzyskania pisemnej zgody posiadacza tych praw jest zabronione.

Wydanie I
Białystok 2024
ISBN 978-83-8371-024-2

Grupa Wydawnictwo Kobiectwo | www.WydawnictwoKobiectwo.pl



Fliat

41 DNI, 9 GODZIN, 42 MINUTY

TO JEST MIEJSCE, w którym umrę.

Wciśnięty między pękające w szwach walizki na tylnym siedzeniu dżipa wbijam posępny wzrok w ultranowoczesny „domek” na wprost mnie.

Wszędzie ostre kąty i drewno na wysoki połysk. I oczywiście szkło. Bardzo dużo szkła. Październikowe słońce wisi nisko i odbija się od olbrzymich, zajmujących całe ściany okien tak agresywnie, że kłuje mnie w oczy.

To jedyny dom w zasięgu wzroku, ukryty pośród lasów Pensylwanii i otoczony płonącymi pomarańczowymi liśćmi. Obrazek jak z czasopisma architektonicznego drukowanego na drogim błyszczącym papierze.

Niezupełnie tak sobie wyobrażałem miejsce, w którym spędzę swoje ostatnie czterdzieści jeden dni.

Czterdzieści jeden dni. Nie mogę uwierzyć, że to wszystko, co mi zostało.

Zaciskam powieki. Przełykam gulę, którą noszę w gardle przez pół życia. Okej, prawie pół.

Wokół samochodu w jesiennym słońcu wesoło ćwierkają ptaki. W środku nasza trójka – mama, tata i ja – milczy. Żadne z nas nie sięga do klamki swoich drzwi. To kolejny krok i nikt nie chce go wykonać.

– No, to jesteśmy na miejscu. – Mama przerywa ciszę z wymuszoną radością w głosie. Jej słowa z brzękiem odbijają się od membrany napięcia, jak igła rzucona w rycerską zbroję. Zmęczenie rozmywa jej rysy i wiem, że to nie tylko efekt długiej podróży.

Ciężka atmosfera nie wynika tylko z tego, że wkrótce umrę. Od ich rozvodu nie widziałem rodziców w jednym pomieszczeniu, a tu nagle mama siedzi w fotelu pasażera jak za dawnych czasów i częstuje tatę emenemsami. Jakbyśmy znów byli normalną rodziną.

To mama wpadła na ten pomysł. Powiedziała, że zrobimy sobie takie wakacje. Wakacje, moim zdaniem, ciut przygnębiające, ale postanowiłem być dobrym synem i zachować tę opinię dla siebie. Wiem, że tak naprawdę w tej podróży chodzi o to, żebym nie musiał spędzać ostatnich tygodni życia w samotności, kiedy oni będą pracować.

Zapytała, dokąd chciałbym pojechać, podsuwając mi listę malowniczych nadmorskich miasteczek i tętniących życiem metropolii, ale już to przerabialiśmy. Krótco po tym, jak poznaliśmy moją datę ważności, mama ciągała nas po najróżniejszych ekscytujących miejscach, żeby dać mi jak najwięcej życia w tym czasie, jaki mi pozostał. Ale weekendowe wypadki do Nowego Jorku i nudne wycieczki samochodem do parków narodowych ani trochę nie poprawiły nam nastrojów – za to rodziców niemal doprowadziły do bankructwa. Już jestem dla nich ogromnym emocjonalnym ciężarem. Nie chcę stać się również ciężarem finansowym.

Dlatego zamiast pozwolić mamie zorganizować mi ostatnie wakacje z przytupem godnym pocztówki, wybrałem miejsce, które nie wpędzi moich rodziców w dług. Powiedziałem, że chcę pojechać do miasteczka, w którym dorastałem: Carbon Junction.

Tata burczy coś pod nosem i szarpnięciem wyjmuję kłuczyk ze stacyjki.

– Przecież nie będziemy tu siedzieć cały dzień – tłumaczy. W takich chwilach jego zrzędlawe usposobienie zawsze działa na nas orzeźwiająco.

Wychodzimy na chłodne jesienne powietrze i rozciągamy zdrętwiałe kości. Mam na sobie czarną koszulkę i czarne dżinsy, mój stały zestaw, i od razu dostaję gęsiej skórki, która błyskawicznie rozlewa się od ramion po nadgarstki.

Podchodzi do mnie mama i przyciska mnie do swojego boku, jednocześnie podnosi na mnie twarz z pełnym otuchy uśmiechem. Patrzy na mnie z dołu nie dlatego, że jest jakoś wyjątkowo niska, to ja jestem nienaturalnie wysoki.

Oczywiście natychmiast dostrzega gęsią skórkę.

– Och, Flint, musi ci być...

– Nie marznę – przerywam jej. To też już przerabialiśmy. Jest to moja stała odpowiedź na pytanie, dlaczego nie chcę założyć kurtki.

Tyle że to nieprawda. Owszem, jest mi zimno, ale ja chcę cierpieć. Jeśli będę zziębnięty, głodny i nieszczęśliwy, to końiec będzie mniej bolesny. Może nawet przyjmę go z ulgą.

Człapiemy w stronę werandy, nasze buty dudnią głucho na drewnianej podłodze. Tego szklanego koszmaru tu nie było, kiedy mieszkaliśmy w Carbon Junction. Wtedy, w innym życiu, które wiedliśmy we trójkę w przytulnym domu po drugiej stronie miasta.

Tata sprawdza w telefonie kod, który dostał od Airbnb, i wstukuje go w klawiaturę na drzwiach. Zasuwka cofa się z mechanicznym zgrzytem i tata wchodzi jak do siebie. My z mamą wahamy się przez jedną, ciężką od emocji sekundę i wchodzimy za nim.

Ogromna przestrzeń jest boleśnie nowoczesna, podłogi wyglądają na twarde, a meble na jeszcze twardsze.

– Przepraszam, że tu jest tak mało... domowo – zaczyna mama, kiedy się rozglądamy. – Mogę kupić jakieś poduszki na tę kanapę. Dywaniki. Trochę ocieplić to miejsce.

Mama jest dekoratorką wewnątrz, jest tą Leslie Larsen z małego, ledwie zipiącego filadelfijskiego biura projektowego Leslie Larsen Interiors. I wystarczy, że teraz skinę głową, a ona natychmiast rzuci się w wir działania i migiem zapcha to miejsce po sufit.

– Nie, mamu, jest w porządku. Nic tu nie trzeba zmieniać.

Moi rozwiedzeni rodzice wymieniają spojrzenie, które umacnia nas wszystkich w przekonaniu, że te „wakacje” będą dziwne.

Pocieram obolałe kolana. W samochodzie musiałem je dociskać do przednich foteli. Ale poza tym czuję się... okej.

To chyba w tym wszystkim jest najgorsze. To, że jestem zdrowy. Że absolutnie nic mi nie dolega. Nie zmagam się z żadną nieuleczalną chorobą, wszystkie narządy mam sprawne. Moje ciało powinno być w stanie pociągnąć jeszcze lata, a nawet dekady. Ale jest dwudziesty trzeci październik, a ono czwartego grudnia o nieznanej godzinie po prostu się wyłączy, jak zegarek, w którym wyczerpała się bateria.

Ta data stała się dla mnie ważniejsza od daty urodzin. Wpisywałem ją w każdy formularz, jaki kiedykolwiek przyszło mi wypełnić. Standardowe pytanie brzmi: jesteś przed

czy po? W szkole musiałem patrzeć, jak moi koledzy i koleżanki z klasy beztrąsko zakreślali „przed” na swoich arkuszach. Ja rysowałem kwadrat wokół „po” niemal wyszarpując dziurę w kartce. I kiedy wszyscy wokół mogli pominąć następne pytanie, ja musiałem na nie odpowiedzieć.

Data śmierci: 4 grudnia.

Data narodzin i data śmierci. Nawias, który obejmuje życie każdego. I każdemu wskazuje jego własny początek półrozpadu. Ja po prostu jestem jednym z pechowców, którym ten początek ukazał się już w dzieciństwie.

Odsuwam od siebie to wspomnienie. Atak poprzedził ból głowy rozłupujący czaszkę, który pamiętam do dziś, choć ataku nie pamiętam. Tamten dzień był linią demarkacyjną biegnącą w poprzek mojego życia i dzielącą je na czas, zanim wiedziałem, kiedy umrę, i czas... po.

Tata drapie się po zaroście.

– Flint, może przyniesiesz nasze rzeczy z samochodu?

Mama energicznie odwraca do niego głowę.

– Mack, nie każ mu tego robić.

– Dlaczego nie? Przecież nic mu nie jest.

– Mamo, w porządku – zapewniam ją, zanim wywiąże się między nimi „różnica zdań”, jedna z tych, które kiedyś były ich specjalnością.

Poza tym rzeczywiście nie mam nic przeciwko przyniesieniu bagaży. Doceniam, że przynajmniej tata nadal traktuje mnie normalnie. Właśnie dlatego po ich rozwodzie postanowiłem zamieszkać z nim. Okej, również dlatego, że mama usilnie starała się pokazać mi, jak bardzo jest radosna i pozytywnie nastawiona, i to ją wykańczało. Udawała, że świetnie to znosi, ale niknęła w oczach. Nie mogłem na to patrzeć. I być tego powodem.

Kiedy krążę między samochodem a domem, taszcząc toboły, mama krząta się w kuchni i próbuje uruchomić kosmiczny ekspres do kawy, a tata, schowany do połowy w szafce pod zlewem, prawdopodobnie reguluje ciśnienie wody albo coś w tym stylu. Nazwać go złotą rączką to grube niedopowiedzenie. Tata wykonywał tyle przedziwnych zawodów, że jest wielofunkcyjnym szwajcarskim szczytorem. Zanim się urodziłem, gasił pożary na platformach wiertniczych, potem był przewodnikiem w firmie organizującej spływy raftingowe. Obecnie kieruje zespołem spawaczy przemysłowych i potrafi naprawić właściwie wszystko.

Powinienem się cieszyć, że rodzice chcą być przy mnie, ale szczerze mówiąc, wolałbym, żeby mnie tu zostawili i wrócili do miasta. Każde do swojej pracy, swojego kręgu przyjaciół i własnego, wolnego od Flinta życia. Nie są mi potrzebni. Dzięki, z umiarem poradzę sobie sam.

Samochód w końcu jest pusty. Zamykam go z podwójnym piknięciem pilota i wracam do domu. Ale zanim dotrę do drzwi, coś każe mi przystanąć.

Widzę ich przez przeszkloną ścianę. Już nie kręcą się po kuchni. Zamarli nieruchomo. Mama przy ekspresie do kawy, jedną dłoń dociska do policzka, drugą trzyma na blacie, jakby musiała się podeprzeć. Tata ze swego miejsca po drugiej stronie kuchni patrzy na jej plecy, a na jego twarzy maluje się bezsilność, jakiej nigdy u niego nie widziałem.

Bardzo głośno otwieram drzwi i zamykam je za sobą.

Kiedy się odwracam, mama stoi prosta jak struna, wygładza na sobie sweter i mruga pośpiesznie. Ale widzę, że tłumi emocje jak na pogrzebie. I jak na pogrzebie powietrze jest gęste, bo na końcu pokoju w trumnie leżą zwłoki, więc trzeba chodzić na palcach i ważyć słowa. Tyle że tu akurat zwłoki nadal chodzą i mówią.

To od początku był głupi pomysł. Nie możemy udawać, że jesteśmy tą rodziną, którą byliśmy osiem lat temu.

Podchodzę do okna z drugiej strony domu i patrzę na las, żeby nie widzieli, jak zaciskam zęby. Upominam się, żeby nie wstrzymywać oddechu, żeby się skupić na liściach, które szeszczą na wietrze.

Zza częściowo nagich gałęzi wyłania się zarys zabudowań po drugiej stronie potoku Maynard's Creek, którego czarna, pofalowana nitka wije się w dole zbocza będącego naszym ogrodem. Znam ulicę biegnącą po drugiej stronie. To Har-ker's Run. Niesamowicie, że pamiętam to po tylu latach.

Tamto dawne życie w Carbon Junction wydaje mi się bardziej realne niż osiem lat przeżytych w mieście.

Chociaż nie wszystko jest tak jak dawniej – jeden z domów ktoś pomalował na jasny fiolet. Dziwnie to wygląda na tle płonących, umierających barw jesieni. Mrużę oczy. Nie pamiętam, żeby na tamtej ulicy stał fioletowy dom. Z drugiej strony chociaż jest krzykliwy, to nie on w widoku z okna drażni mnie najbardziej.

Powyżej linii drzew, na najwyższym pagórku w mieście pyszną się bowiem dwa architektoniczne koszmary. Zamek i Korona.

Zamek to stara elektrownia węglowa, której trzy kominy mają niby przypominać wieże zamkowe. Od lat nieczynna niszczeje i rdzewieje za lichym ogrodzeniem z siatki, ale z daleka nadal wygląda na potężną i dominującą. Swego czasu dawała zatrudnienie praktycznie całemu miasteczku. Gdy ją zamknięto, miasteczko mogło się pograć w biedzie i zarosnąć chwastami, ale ocalenie przyszło w postaci drugiego budynku na wzgórzu – Korony. I teraz tam pracują wszyscy z Carbon Junction. Albo prawie wszyscy.

Korona to bezlitośnie nowoczesna wieża z białego betonu, wznosząca się trzydzieści pięter nad miastem i zwieńczona kręgiem wygiętych szpikulców wyglądających jak korona jakiegoś okrutnego władcy z kosmosu.

Jest coś boleśnie ironicznego w fakcie, że moje rodzinne miasto, miejsce, w którym się urodziłem i w którym umrę, stało się siedzibą Instytutu Półrozpadu, najważniejszego ośrodka badającego zjawisko, z którym ludzkość mierzy się od zarania dziejów.

Gdybym miał dość energii, pokazałbym mu środkowy palec.

Wydaje mi się, że mama tak naprawdę się ucieszyła, że chciałem tu wrócić. Głównym zadaniem instytutu jest znalezienie czynnika determinującego początek półrozpadu (choć wątpię, aby kiedykolwiek udało się poczynić jakiś postęp w tym obszarze), ale oferuje również najróżniejsze programy „wsparcia”. I jeśli mamie się wydaje, że zdoła mnie namówić na rozmowę z którymś z terapeutów instytutu, to czeka ją głęboki zawód.

Słońce chowa się za chmurą i przez moment widzę w szybie własne odbicie. Boże, wyglądam jak zombie. Jestem wykończony.

Coś uderza w szybę dokładnie na wysokości mojej twarzy. Zaskoczony odskakuję.

Mały szary ptak leży na boku na deskach podłogi. Obserwuję, jak ptaszek podrywa się jeden jedyny raz i wypuszcza powietrze, a jego małeńka pierś się zapada. I więcej się nie rusza.

Przez chwilę jestem jak sparaliżowany. Pierwszy raz widzę, jak umiera jakaś istota.

Gula w moim gardle rośnie.

– Mamo? Na tarasie jest martwy ptak.

– Co mówisz? – Zjawia się przy mnie natychmiast. – Och, skarbie, nie patrz tam. Powiem tacie, żeby go zabrał do śmietnika na podjeździe.

– Nie, zaczekaj. – Zdążyłem już poczuć więź z tym ptakiem. Przecież ja też tutaj umrę. – A nie mamy jakiegoś pudełka czy czegoś takiego?

Mama łagodnieje.

– Coś się znajdzie.

Kiedy znika w poszukiwaniu ptasiej „trumny”, ja przetrząsam szuflady w kuchni. Ponieważ nie pomyślałem o zabraniu łopaty na te wesołe rodzinne wakacje, będzie mi musiała wystarczyć chochla do zupy.

Mama wręcza mi pudełko po kapsułkach do ekspresu.

– Myślisz, że się zmieści?

Kiwam głową i wychodzę na taras.

– Flint, zaczekaj. Włóż kurtkę.

Gdy się odwracam, mama trzyma ją w wyciągniętej ręce.

– Proszę – nalega.

Biorę kurtkę, ale zamierzam ją zdjąć, kiedy tylko zniknę mamie z oczu.

A ona przytrzymuje mnie za łokieć.

– Masz ochotę porobić coś konkretnego dziś wieczorem? – pyta. – Pomyślałam, że moglibyśmy zamówić tajskie jedzenie, a tata mógłby uruchomić telewizor.

– Szczerze mówiąc, jestem trochę zmęczony. Chyba po prostu pójdę się położyć.

To oczywiście nie zostaje dobrze przyjęte. Wiem, jak sobie wyobrażała te ostatnie tygodnie. Żadne z rodziców nie może sobie pozwolić na półtora miesiąca wolnego, ale i tak zdołali wygospodarować taki kawał czasu na Pielęgnowanie Życia

Rodzinnego. A mama dodatkowo będzie chciała, żebym ją na bieżąco informował o swoich odczuciach.

– Flint... – Odgarnia mi włosy z twarzy. – Wiem, że jest ci ciężko, ale wciąż możemy robić fajne rzeczy, mimo że...

Nie jest w stanie tego powiedzieć. Nawet po ośmiu latach życia z tą świadomością.

Bezradnie wyciąga ręce w moją stronę.

– Nie możesz nic nie robić. Powinieneś mieć coś z życia.

– Coś jest w tym zdaniu kluczowe.

Zraniłem ją, widzę to po jej twarzy.

Chcę przeprosić, przyciągnąć ją do siebie i przytulić jak wtedy, kiedy byłem dzieckiem. Ale nie mogę. Nie powinienem. Lepiej, żeby zbyttnio za mną nie tęskniła, gdy mnie nie będzie.

Wzdycham.

– Okej, niech będzie tajske.

Uśmiecha się. Mechanicznie, ale zawsze to coś.

– Zamówię od razu. Kocham cię.

– Taa.

Na tarasie kucam i trącając ptaka palcem, wtaczam go do pudełka. Potem idę w stronę drzew. Zatrzymuję się pod wysoką sosną i zdejmuję kurtkę. Kiedy wbijam chochlę w zimną ziemię, w głowie mam tylko jedną myśl. Czterdzieści jeden dni.

Zalewa mnie fala czegoś czarnego i bezgranicznie zjebanego.

Myślałem, że przywykłem do tego odliczania. A jednak teraz, kiedy do końca zostało sześć tygodni, coraz częściej przytrafiają mi się takie fale gorącej, lepkiej paniki. W niektóre dni jest gorzej, w inne ciut lepiej. Czasem nawet udaje mi się niemal całkiem ją zagłuszyć, ale odkąd tu przyjechaliśmy, ucisk w gardle nie słabnie.



Sięgnij
po więcej!



Wydawnictwo Young



wydawnictwoyoung



wydawnictwoyoung

Young